

Charkûn-aglâb

Autor: Tornene

„Z całej armii wschodniej najdłużej dotrzymali pola krasnoludowie z Belegostu i wielką sławą okryli się w tej bitwie. Naugrimowie bowiem lepiej niż elfy i ludzie znoszą ogień, a przy tym mieli zwyczaj idąc do boju wkładać wielkie maski, szkaradne wprawdzie, lecz bardzo pomocne w starciu ze smokami. Gdyby nie krasnoludowie, Glaurung wraz ze swym potomstwem zniszczyłby ogniem resztę Noldorów. Gdy bowiem smok ich zaatakował, Naugrimowie otoczyli go kręgiem, a nawet potężna zbroja nie mogła ochronić Wielkiego Gada od ciężkich krasnoludzkich toporów. Glaurung w furii odwrócił się, powalił Azaghâla, Władcę Belegostu, lecz gdy pełznął po jego ciele, Azaghâl ostatnim wysiłkiem zdołał wbić nóż w brzuch potwora, który ciężko ranny uciekł z pola bitwy, pociągając za sobą także inne bestie z Angbandu. Krasnoludowie dźwignęli ciało Azaghâla i zabrali je z pobojuwiska; za marami cały hufiec kroczył powoli, śpiewając niskimi głosami żalobną pieśń, jak gdyby odprawiali uroczystości pogrzebowe w swoim kraju, a nie wśród niebezpieczeństw i wrogów; nikt wszakże nie ośmielił się zastąpić im drogi”.

Silmarillion - Nirnaeth Arnoediad

Śnieg padał nieprzerwanie od kilku tygodni. Biała szata przykrywała metr po metrze całą okolicę Samotnej Góry. Z natury ciemnoszare ściany odwiecznego domu krasnoludów jaśniały, zaczarowane zimą, a wiatr postradał wszelkie zmysły i wyl niczym zraniony wilk. Wokół niższych partii Ereboru rozszalała się taka zawierucha, że potężne miasto Dale, owoc sojuszu ludzi i Brodatego Plemienia, całe zasnuwane było płaszczem mroźnej, klującej jak maleńkie igielki kary za upalne lato. Jedynie szpiczasty wierzchołek góry wznosił się ponad to wszystko - ponad mróz i biel. Górował dumnie nad całym środkowym Śródziemniem niczym dobrotliwy ojciec, który srogim, lecz sprawiedliwym wzrokiem spogląda na swe dzieci. Nic dziwnego, że krasnoludowie wybrali sobie tę właśnie górę za dom. Krażą nawet wśród nich opowieści, które tyczą się rzekomej woli samego kowala z Valinoru, aby tam zamieszkały jego ukochane dzieci. Nie rozstrzygniemy tego pytania chyba nigdy. Nie raz pytałem różnych krasnoludów, czy Aulë wybrał im ten dom i czy czują jeszcze jego obecność w Śródziemiu. Zapytajcie sami - ujrzą tylko pobłażliwy uśmiech, albo też dobrotliwy, szczerzy krasnoludzki śmiech uciszy wszelkie naiwne dla nich pytania.

Taki właśnie śmiech rozległ się u bram Ereboru, gdy dziesięcioosobowy oddział zwiadowców dostał się do środka. Krzepkie dłonie strzepywały śnieg z odzienia przy wtórce śmiechu, żartów i pochuchiwań na skostniałe palce. Ktoś przyniósł grzane piwo. Pozwólcie, że tutaj zatrzymamy się na chwilę z naszą opowieścią. Czy wiecie, czym jest krasnoludzie piwo? Ech, jeśli nie przebywaliście u nich w gościnie, niczego nie wiecie i smutnymi przyjdzie wam umierać. Nie są to pomyje, którymi częstują w karczmach; nie są to również cudacznie przyrządzane i podawane z pompą królewskie specjały. Jest to piwo, po którym obciera się brodę z głośnym okrzykiem zadowolenia. Bombur, doświadczony w sprawach warzenia, zwykł mawiać: "Ech, na kolanach z najdalszego zachodu przyszliby Valarowie, aby skosztować tego napitku, gdyby o nim wiedzieli. Biedaczki siedzą tam smutni i żłopią swoje winka przy graniu harf. Piwa krasnoludzkiego, jak śpiewa tysiącem maluteńkich tarcz nie widzieli! Sam Aulë poklepałby mnie po plecach i rzekł, że nie na darmo rodzicie Bombura sobie sprawili!". Jaki by nie był pocziwy nasz piwowar, zapewniam, że na swój sposób mówił prawdę. Znałem takiego, co spróbował raz i osiedlił się w Dale do końca swych dni. Pracował ciężko i bronił grodu przed wrogami i o nic nie prosił, tylko żeby mu piwa znosili. Taką ma cenę krasnoludzkie piwo, drodzy moi przyjaciele... Ktoś powie - "Czemu zatem niektóre krasnoludy tak chleją na umór karczmiane piwa, skoro znają się na wyrobie lepszych?". Tęsknota. Tyle odpowiem. Zresztą widzieliście nieobecny wzrok Naugrima, który już się nakosztował i ma dość - tęsknota powiadam wam, tęsknota... I tego się trzymajmy, gdy żony będą nas pytać i krzyczeć nie wiadomo, z jakiego powodu.

Wracając do tematu - piwo było grzane. Wspaniale podziało na zwiadowców, którzy szli teraz rażnym krokiem korytarzami wprost do sali tronowej króla Dáina II Żelaznej Stopy. Wiele poziomów ma Erebor i korytarze jego są wykonane z takim mistrzostwem i precyzją, iż stać trzeba by tygodniami i podziwiać to piękno. Wiele widziałem wyrobów rąk ludzkich i elfickich, efekty pracy najlepszych kowali, płatnerzy i tych, co tylko do najważniejszych zadań są wyznaczani. Powiem wam jedno - takiej precyzji, piękna, a zarazem solidności nie stworzył i nie stworzy żaden z nich. Tu trzeba tych, których Aulë pobłogosławił. Ilu było szaleńców, co piękno nazywali szpetotą? No właśnie, wielu, a żaden z nich nie rzekł tego o krasnoludzkim trudzie. Dumny Khazad-dûm podtrzymuje góry, szlachetny Erebor odstrasza zło i pnie się ku niebu jak młody, pewny swych sił orzeł. Nie znam większych mistrzów rzemiosła, więc pozwólcie, że ubogi język mój nie będzie kalął piękna krasnoludzkich osad.

Powiem jedynie, że centralne miejsce całej góry zajmuje wielki piec, rozpalany kilkudziesięcioma miechami. Pali się nieprzerwanie w nim ogień, który rzekomo podarował krasnoludom sam Aulë. Coś z prawdy w tym chyba jest, bo nigdy nie pozwolono, by ogień zgasł, nawet jak gadzi pomiot Smaug spał w komnacie tronowej. Serce pieca żarzyło się wtedy nieprzerwanie, czekając na powrót troskliwych krasnoludzkich rąk. Od niego, we wszystkie strony, rozchodzą się promienie korytarze prowadzące do sal przeróżnego zastosowania. W jednej z

nich żyje starzec, którego cała krasnoludzka brać zwie Tharkûn-aglâb. Jego typowo krasnoludzkie imię, na modłę ludzi z północy, poszło u wielu w zapomnienie. Nawet ci Naugrimowie, którzy nie utrzymują stosunków z Samotną Górą i układają się z ludźmi wschodu, nie odmówili jeszcze nigdy szacunku temu nobliwemu starcowi. Kto słyszał niewybredne żarty krasnoluda, albo chociaż wie, jak szorstcy są w obyciu, zdaje sobie sprawę jakie wrażenie robił on na swoich brodatych braciach. Stare ma i pozbawione już prawie sił ciało. Pomarszczone i naznaczone licznymi ranami. Okrywa je tylko lekki krasnoludzki kaftan i wygodne spodnie. Długa siwa broda zatknięta za pas świadczy o tych pięciuset latach, które spędził w Śródziemiu. Co ciekawe, dziadek ten nie garbił się wcale. Zawsze stał wyprostowany, z dumnie podniesioną głową, świecąca absolutną lysiną. Kiedy siadał, kładł jeden łokieć na oparciu krzesła, przechylając się nieznacznie w którąś ze stron. Gdy opowiadał słowa jego były zawsze przemyślane, a tubalny, pewny, lecz nie pośpieszny głos sprawiał, że wokół niego zawsze znajdował się ktoś, kto prosił o jakąś opowieść dawnych dni. Imię jego znaczyło w ukochanym języku krasnoludów: "słowo czleka z laską". Był to typowy krasnoludzki żart, jeden z tych, które bawią najczęściej tylko ich. Chodzi bowiem o to, że Tharkûn-aglâb nie używał nigdy laski i na samą myśl o niej kłął siarczyście pod nosem. Zamiast tego podpierał się na toporze, który służył mu od wielu lat, będąc najlepszym przyjacielem w niespokojnych czasach.

Sala, w której teraz przebywał, była najdziwniejszą salą Ereboru. Każdy mógł tu przyjść i o każdej porze. Przy ścianach znajdowały się misy z delikatnie podgrzewaną wodą, a małe okrągłe stoliki stały tu i ówdzie, kusząc zawsze zapelnionymi blatami. Staruszek usiadł na jednym z krzeseł i zamyślił się. Zawsze w takich sytuacjach pocierał od czasu do czasu wielką bliznę, która szpeciła jego starczą twarz, przebiegając przez całą lewą jej część, aby ginąć w odmętach gęstej brody. Ledwie zaczął swój rytuał, gdy przybiegła do niego grupka krasnoludzkich dzieciaków. Ech, czy wiecie, jakie potrafią być nieznośne te stworzenia? Ile popsutych urządzeń znajdziesz w każdym krasnoludzkim domostwie? - Nie do policzenia to liczba i niejedne okolice pod plecami młodych krasnoludów zbierały ostre lanie za taką działalność. Mimo wszystko dorośli śmiali się ukradkiem i wręcz cieszyli, że ich pociechy kochają słuszne rozrywki. Przecież i każdy z nich za młodu nie raz obrywał za swoje szalone pomysły.

Pięć małych, brodatych główek zamajaczyło przed oczyma Tharkûn-aglâba i dopiero wtedy usłyszał ich wołania: "Opowiedz nam coś!", "Ja chcę o smoku, ja chcę o smoku!", "A dlaczego elfy nie mają bród?" i inne wykrzykiwane z niemożliwą szybkością naiwne pytania dziecięcych umysłów. Tharkûn-aglâb uśmiechnął się, podniósł nieznacznie na krześle i krzyknął swoim tubalnym głosem: "A co wy myślicie, goblinińskie nasienie, że byle kto może nosić brodę?". Roześmiała się dzieciarnia i widząc, że staruszek jest w dobrym nastroju, usiedli wszyscy razem na ziemi przed nim, czekając na opowieść.

- Opowiedz, prosimy - nie ustępowały - No, opowiedz nam o smoku...

- O tym gadzim pysku Smaugu?!

- Opowiedz! Jak trzeba było go pokonać...

- Eeech! Słyszeliście to już setki razy...

- O Smaugu, jak mu siarka z nosa leciała i jak trzeba było...

- Nie, moi drodzy. Opowiem wam starą historię, która wydarzyła się wieki temu, a pradziadek mój widział to na własne oczy i nie raz mi opowiadał. Chcecie?

- Chcemy! - odpowiedziała zgodnie dzieciarnia, choć i te zdarzenia znały na pamięć - Zaczynaj dziadku!

- Dziadku?

Tharkûn-aglâb przybrał surową minę, gdyż nie lubił, gdy nazywano go dziadkiem, zamiast przydomkiem w starodawnym języku. Uważał, że jeśli na to pozwoli, to za niedługo nikt nie będzie się mu kłaniał.

- Jaki "dziadku"?! To tata cię nie nauczył, jak należy się zwracać do starszych osób?

- Nauczył, przepraszam.

- Ech, ja cię dobrze znam, goblinińskie nasienie! Największy z ciebie postrach Ereboru, wojownik z ciszą i pogromca klamek. Takiego urwisa nie widziałem dawno! Co tam chowasz za plecami? No pokaż!

- Ja?

- No a kto?

- Leżała na korytarzu... - mała rączka z klamką pomalu wyłoniła się zza pleców dziecka - ... Leżała, to ją...

- Na brodę Durina! Wszystkie włosy ci z tej bródki małej powyrywam, ty potworze jeden.

- Nie rób tego Tharkûn-aglâbie, już nie będę...

- Jeszcze jej mleko nie wyschło z brody, a już tak psoci! Nawet chłopcy tak nie szaleją jak ty...

Nastąpiła chwila ciszy. Tharkûn-aglâb czekał, aż dziewczynka wystarczająco pożałuje swojego zachowania. Uśmiechał się do siebie w duchu, bo była to jego ulubienica. Wszyscy o tym wiedzieli doskonale. Było to tak oczywiste jak fakt, że staruszek machnie teraz dłonią i zacznie opowiadać.

Było to wiele, wiele lat temu. Nikt, kto brał udział w tych strasznych wydarzeniach, nie dożył naszych dni. Były to czasy niespokojne, całe Śródziemie płonęło ogniami walk, a zdrajca i tchórz z Angbandu wysyłał coraz to nowe oddziały swych plugawych sług, aby walczyli z tymi, którzy umiłowali wolność. Rasa nasza była atakowana przez wiele miesięcy, a niejedna z naszych twierdz broniła się skutecznie, choć opór ten wydawał się bezcelowy. Kiedy Azaghâl, król Belegostu, dowiedział się, że wielka liczba nieprzyjaciół nadciąga naprzeciw armii elfów i ludzi wiedział, że należy działać. Zebrał potężną armię, a dowiedziawszy się, że po stronie wroga znajduje się Glaurung (w tym momencie Tharkûn-aglâb splunął) i jego pomioty, wykonano maski, które od lat używane były w walce z pomniejszych smokami na północy. Armia Azaghâla długo przebijała się przez oddziały wroga. Kiedy już dotarli w serce bitwy, dopadło ich zwątpienie. Elfowie byli w odwrocie, oddziały zła, skłębione w jedną wielką masę napierały na nich z niesamowitym gniewem. Choć Pierworodni bronili się dzielnie, musieli ustępować pola tej chmurze smrodu i opętańczych krzyków. Może i zatrzymałyby elfickie i ludzkie tarcze ten napór, gdyby nie gadzi ogień. Gdzie tylko udawało się odeprzeć wroga, lub nawet zmusić do odwrotu, zaraz pojawiał się Glaurung i pomniejsze smoki, paląc wszystko, co żywe i nieżywe. Zwątpienie wstąpiło w serca krasnoludów. Ktoś zaczął mówić o zwłoce w ataku, ktoś nieśmiało napomknął o odwrocie. Azaghâl odwrócił się do nich i rzekł, trzymając topór swój nad głową: "Kto ciemności się boi, do kopalni nie wchodzi! Kto sił nie ma - ten w kamieniu nie kuje! Bracia! Żołnierze dumnego Belegostu! Niech moją brodę pchły zjedzą, jeśli nie z krasnoludzkiego plemienia. Baruk Khazâd! Khazâd ai-mênu!"...

I stoczyły się nasze oddziały, tnąc i miażdżąc całe plugastwo, które stało im na drodze. Zaskoczenie i wyjątkowa wściekłość, z jaką atakowali nasi brodaci bracia pozwoliły im wyrąbać sobie drogę do jednego z książąt elfów, który dziękując, wycofał się z nielicznymi niedobitkami swoich oddziałów. Glaurung, widząc, co się dzieje, rzucił się na naszych. Ech, czymże jest smoczy dech, w porównaniu z piecami naszych kuźni? Dzięki maskom nie odnosiliśmy większych obrażeń, a rzuciliśmy się z taką zajadłością na te gadzie ścierwa, że nieprzyjaciel w przerażeniu zaczął się wycofywać. Ech, poezją podobno był świst topora Azaghâla, pięknymi wierszami uderzenia młotów jego gwardii! Truchła małych gadów leżały wokół nas, gdy skoczyliśmy ku Glaurungowi. Ech! (Tharkûn-aglâb aż uniósł się z krzesła, a dzieci z otwartymi ustami odchyliły się nieco do tyłu) Ach! Tylko krasnoludzkie topory zdolne były tak pogłaskać zbroję tego plugastwa. Wil się jak podstępny wąż i piszczał jak ptaszek, gdy nasze topory i ciężkie młoty waliły się na jego śmierzące cielsko. Wiedźcie jednak, że podstępny to ród i sprytny w swoim braku honoru. Wywinął się wtedy

Glaurung i ostatkiem sił powalił na ziemię naszego króla. Przygniótł go swoim olbrzymim cielskiem, gruchocząc kości. Lecz zapamiętajcie przyjaciele - nic nie złamie krasnoluda! Azaghâl ostatkiem sił dobył sztylet i wbił go w brzuch potwora. Ech, jak zapiszczała, jak się pozwijała bestia! Byłaby zdechła, bo rzucili się na nią mimo wielkiego zmęczenia z furją, lecz zdołała uciec, na wół pelznąc, na wół biegnąc. Wzięli wtedy nasi bracia kilka tarcz i zrobili z nich nosze. Położono na nich króla Azaghâla i smutna pieśń popłynęła z krasnoludzkich gardeł. Jakby świat się skończył, jakby dzień miał nie nadejść. Dobry to był król - w miłości sprawiedliwy, w gniewie zaś straszny. Mało już takich krasnoludów zostało się na świecie. Bitwa została wygrana, choć okupiono ją niezliczonymi łzami i morzem krwi. Wiele oznak wdzięczności i podarków szło do Belegostu za decyzję króla Azaghâla, lecz nic nie ukoilo bólu po jego stracie.

Tharkûn-aglâb westchnął głośno i spojrział na słuchających. Dzieci siedziały cicho, a na ich twarzach malował się smutek i zaduma. Cisza wypełniła tę salę na dłuższą chwilę, aż weszło do niej czterech sztygarów, którzy kłaniając się Tharkûn-aglâbowi pojawiali się kolejno w progu. Staruszek wyganiał grzecznie dzieci, prosił, by poszły się pobawić, lecz te wydawały się jakby ospale i nie chciały wyjść. Sztygarzy zdjęli brudne koszule i ochronne hełmy. Zaczęli oplukiwać się z pyłu w wielkich misach. Parskali przy tym, energicznie polewając i pocierając gąbkami ciała.

- Jak praca przyjaciele? Czy Mahal<sup>1</sup> był dziś dla nas szczodry?
- Nie najgorzej Tharkûn-aglâbie, nie najgorzej. Co wydarliśmy skale - to nasze.
- A no, żeby tylko spokojnie było.
- O czym mówisz?
- O niczym, takie tam. A czy nie spotkaliście tam jakiegoś goblina czasem? - zapytał staruszek - podobno kręcą się tu ostatnio.
- Oj, może i się kręcą - odpowiedział jeden, pamiętając, że takim sposobem utrzymywało się dzieci zawsze z dala od szybów - Kiedyś nawet wydawało mi się, że jednego poczułem, ale to tylko Nuli naźarł się jakiegoś świństwa.
- Oj przestań - odparł Nuli - Przecież dzieci słuchają...
- A niech słuchają. Mówię wam - powiedział pierwszy, odwracając się do malców - gobliny i orkowie tak śmierdzą, że trzeba nosy zatykać.
- A jak wyglądają goblinie korytarze? - zapytał jeden głos z ubawionej dzieciarni - podobne do naszych?
- Ej mały przyjacielu - powiedział jeden ze sztygarów, prostując się i pokazując palcem na sufit - Ich korytarze są śmiechu warte. To jakbyś główną ulicę naszego Dale porównał do polnej ścieżyny! Niestarannie rozkopane, śmierdzące, krzywe, grożące zawaleniem. Takiej roboty powstydzilibym się nawet po piętnastu kuflach!
- A jak wygląda taki goblin?
- Chcesz wiedzieć jak wygląda goblin?! - krzyknął Nuli, stając nad dzieciarnią - Jak wielka żaba przy nadziei!

I zaśmiali się wszyscy szczerym śmiechem. Rozgoniono pozornymi groźbami dzieciarnię i w sali pozostali tylko dorośli.

- Spodziewasz się wojny Tharkûn-aglâbie?
- O wojnie decyduje król.
- Oj przestań - zdenerwował się Nuli - Masz przed sobą starych krasnoludów, czy dzieci? One poszły, pomówmy więc o gorzkich rzeczach...
- Czasem jeden węgielek, rzucony na suchą trawę, podpala cały step. Czasem lepiej podpalić step z odpowiedniej strony...

---

<sup>1</sup> Tak krasnoludowie zwali swego stwórcę, Aulego.

- Rozlegnie się zatem znów wojenny rozgardiasz w Ereborze i kuźnie będą miały masę roboty... Myślisz, że nie ma już odwrotu? Przecież nic nie wiemy. Dlaczego mielibyśmy myśleć o najgorszym?
- Bo gdzie światła nie ma, tam lęgnie się mrok. Żaden dom nie znosi pustki, a północ jest domem naszych najstraszniejszych wrogów.
- Ja pójdę - wyrwał się jeden ze sztygarów - Jeśli gadzi brud i nieczystości miałyby znów kłaść to, co nasze... To ja...!
- Poczekaj, serce twoje...
- Moi przodkowie to spaleni w Azanulbizar krasnoludowie! Nie będę spokojnie kopał w ziemi, gdy mogę zamiast kilofa wziąć topór w swe ręce!
- Kop i rób swoje. Nie obiecuj krwi - odpowiedział zamyślony Tharkûn-aglâb - mało cenią naszą krew w Śródziemiu. Mało wiedzą, ile jej przelewać trzeba w Żelaznych Wzgórzach i okolicach, gdzie lśniąca helmy ludzi i elfów nie zagładają.
- To nasze! Nie trzeba mi sławy u innych ras!
- Nie o sławie mówię i zaszczytach. Mówię o pomocnej dłoni, która częściej z dołu ku górze była wyciągana, niż z góry, ku dołowi.

Wszyscy zamilkli. Ktoś przybiegł i zawołał Tharkûn-aglâba. Wzywał go król. Starzec kroczył powoli i widać było, że rozmyśla nad czymś, przepelniony obawami. Ogromne drzwi oddzielające salę tronową od reszty góry otworzyły się na oścież.

- Witaj Królu Spod Góry, Dáinie Żelaznostopy.
- Witaj Tharkûn-aglâbie, potrzebuję twej pomocy.
- Sługą twym jestem, panie.
- Nie będę chował brody za plecy, prawdę od razu ci rzeknę, a ty osądź, czy słuszne są me zamiary...
- Więc jednak wojna, mój królu?
- Wojna. Smoki rozpleniły się na północy. Moc ludzi wschodu, którzy zapredali serca złu, rośnie. Mordor rozgorzał kuźniami... Tylko Żelazne Wzgórze są bezpieczne w swoich twierdzach i szczytach. Wszystko wskazuje na to, iż Smaug ma nie być ostatnim smokiem, który zbruka progi Ereboru. Szykuje się wielki atak, chyba, że wyprzedzimy cios i uderzymy pierwsi. Jest zima, smoki są ospałe. Na otwartym terenie, w rozproszeniu, nasze kusze i proce mają większe szanse. A i topory niezgorzej będą ciąć. Mimo wszystko nie wiem, czy inni nie zaatakują nas od południa. Czy ktokolwiek obroni nasz dom, jeśli pójdziemy na wojnę?! Czy jak wrócimy, to będzie nas na tyle, aby bronić Ereboru... Kto zatroszczy się o nasze domy, gdy będziemy walczyć ze złem, które grozi wszystkim? Jestem w rozterce, przyjacielu...
- Wiele krwi i łez kosztowała nas wyprawa do Khazad-dûmu, sam przecież wiesz, królu. Walczyliśmy o każdą piędź ziemi i dosięgliśmy celu, pobłogosławiliśmy poległych w imię zemsty. Plakałem wtedy jak dziecko i zniechęciłem wojnę. Mimo tego zawsze stawałem w szeregach, gdy kazałeś... Ta jednak wojna, będzie całkiem inna.
- Wiem o tym Tharkûn-aglâbie, przyjacielu mój... Czy podołam?
- Królu, jeśli nie ty, to kto?
- Nie mam już takich silnych rąk. Wiek nie ten.
- Od silnych rąk i hartu ducha masz, królu lud swój brodaty. Rzeknij słowo, a zgniecie on gady w ich norach!
- Wiesz, przechodziłem obok komnaty, gdy opowiadałeś o Azaghâlu...
- Panie, jedno słowo. Królu - tysiąc słów...

W samym środku srogiej zimy potężna armia zahartowanych w boju krasnoludów wyruszyła na północ. Prowadził ich król Dáin II Żelaznostopy. Kiedy ruszał na największą z

krasnoludzkich wojen był młokosem i szedł gdzieś w ariergardzie. Dziś jest Królem Spod Góry, w którego oczach nikt nie dostrzegł wahania. Wsparcia udzielili również inni władcy krasnoludzkich miast i osiedli.

A tam, w ciepłym wnętrzu Samotnej Góry, krasnoludzka dziewczynka kładła pod drzwiami, lub wsadzała po kryjomu na miejsce wszystkie klamki, jakie w swoim dziecięcym życiu zdążyła zebrać.

KONIEC



© Tornene.